

PAUza

Akademicka

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności



Nr 15 Kraków, 4 grudnia 2008

Uchwała Walnego Zgromadzenia Polskiej Akademii Umiejętności podjęta w dniu 22 listopada 2008

Polska Akademia Umiejętności zwraca uwagę Rządowi, Sejmowi i Senatowi Rzeczypospolitej na fundamentalną rolę polskiej humanistyki, która jest niezbędnym atrybutem i gwarantem narodowej tożsamości Polaków. Chroniczne niedoinwestowanie tej dziedziny nauki i kultury grozi jej marginalizacją, do której nie można dopuścić.

Aby tę ważną narodową sprawę wyłączyć z wahań koniunktury gospodarczej i politycznej, Polska Akademia Umiejętności postuluje utworzenie wieloletniego programu rządowego, angażującego resorty nauki, edukacji i kultury. Program winien dysponować środkami odpowiednimi do tego, aby realizować niezbędne duże programy badawcze oraz zbudować nowoczesną infrastrukturę.

Wyrażamy nadzieję, że władze państwowe wraz ze środowiskami humanistycznymi podejmą niezwłocznie prace nad skonstruowaniem takiego programu, a następnie nad wprowadzeniem go w życie.

O potrzebie wydawania

Niedawno, na łamach PAUzy nr 2, można było przeczytać apel w sprawie finansowania *Polskiego słownika biograficznego*, poparty w następnych numerach przez uczonych o wielkim autorytecie. Poparty jak najśluszniej: nie wolno przecież dopuścić, by dzieło o tak wielkim znaczeniu było w swym istnieniu zagrożone.

Sytuacja *PSB* przywodzi niewesołe myśli dotyczące także innych podstawowych zadań naszej humanistyki. Oczywiście, wszyscy zdają sobie sprawę, że czasy nie są dobre dla apeli takich, jak ogłoszony przez prof. Andrzeja Romanowskiego. Gdy dziś mowa o finansowaniu nauki, na ogół myśli się o innowacyjności i transferze technologii, o naukach technicznych i biomedycznych lub o badaniach podstawowych w dziedzinie fizyki i chemii. Na te cele zastrzega się środki finansowe w budżecie państwa i w funduszach unijnych. Biedny humanista z zazdrością słucha i patrzy: cóż on może opatentować lub przetransferować?

A przecież poważna dyskusja na temat zadań polskiej nauki musi wychodzić poza jednostronne zachłyśnięcie się technologią: potrzeby człowieka z pewnością nie ograniczają się do praktycznego wymiaru życia, a w badaniach polskiej historii i literatury nikt nas wyręczyć nie chce i nie może.

Jedną z takich dziedzin, które wymagają namysłu, a może nawet ratunku, jest edytorstwo naukowe klasycznych tekstów naszej literatury. Mowa o wydaniach opatrzonych obfitym aparatem krytycznym, ustalających tekst po żmudnej kwerendzie i skolekcjonowaniu przekazów. Nie są to edycje dla zwykłego czytelnika, który nie jest na ogół zainteresowany technicznymi uwagami edytora naukowego, a aparatu krytycznego czytać wręcz nie umie. Jednak to one powinny stanowić podstawę wydań „do czytania”. Jeśli edycji krytycznych nie ma, wydawca tekstu w wersji

popularnonaukowej przeprowadza kalkulację, jak daleko powinien sięgać kompromis między wymogami rzemiosła edytorskiego a konkretnym zadaniem, którego się podjął; wyniki tego namysłu nie zawsze są zadowalające.

Rzecz jasna, przedmiotem namysłu winno być i to, które dzieła i którzy autorzy na wydania tego rodzaju zasługują. Sytuacja jednak nie jest wesoła: pełnej edycji, spełniającej najwyższe wymagania, nie ma żaden z wielkich pisarzy polskich, nawet Adam Mickiewicz, na którego dziełach kształtowali swój warsztat najwybitniejsi edytorzy polscy. Sygnowane przez SW Czytelnik i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza niedawne *Wydanie Rocznicowe* w 17 tomach, choć bardzo udane, nie może być uznane za edycję w pełni naukową, a wcześniejsza próba, pod redakcją Konrada Górskiego, skończyła się na wydaniu *Pana Tadeusza* w jego opracowaniu oraz poezji w opracowaniu Czesława Zgorzelskiego. Bardzo ambitnie zakrojone zostały *Dzieła wszystkie* Jana Kochanowskiego: Sejm podjął w 1978 r. specjalną uchwałę, pierwszy tom ukazał się w cztery lata później, ale wydawnictwo nie doszło nawet do połowy, a ostatni z opublikowanych tomów wypuszczono w 1997 r., co każe wątpić w ukończenie przedsięwzięcia w rozsądnym terminie. Pierwszy z ośmiu planowanych i jedyny dotychczas wydany tom *Dzieł zebranych* Ignacego Krasickiego ujrzał światło dzienne w 1998 r. Dobrze zapowiada się edycja *Dzieł wszystkich* Cypriana Norwida, firmowana przez specjalny instytut Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i przez prof. Stefana Sawickiego: na razie mamy tom 7 wydany w 2007 r. Nieco lepiej można mówić o wydaniach autorów późniejszych, z końca XIX i XX wieku: ma zakończoną edycję Stanisław Wyspiański, ma Jan Kasprzowicz, wydano znaczną część pism Stefana Żeromskiego.

(dokończenie – str. 2)

O potrzebie wydawania

(dokończenie ze str. 1)

Wydaje się, że jedną z przyczyn niepowodzeń edytor-
skich jest sposób realizowania owych wielkich przedsię-
wzięć. Niektóre doprowadzone do końca wydania
zbiorowe wiele zawdzięczają zaangażowaniu wydaw-
nictw, co w dzisiejszych realiach rynkowych wydaje się
trudne do powtórzenia. Jeśli natomiast powołać specjalną
komórkę w którejś z instytucji naukowych, jej pracownicy
dążyć będą do ustabilizowania swego statusu, co nie sprzy-
ja szybkiemu wykonaniu zadania. Wydaje się, że dziś,
kiedy bezterminowe etatowe zatrudnienie przestaje być
marzeniem młodych pracowników, pewnym rozwiązaniem
mogłyby być kilkuletnie granty przeznaczane dla zespołów
opracowujących konkretne edycje; łatwiej je rozliczać,
łatwiej też wyobrazić sobie, że zdobyte w ten sposób
doświadczenie ułatwi starania o następny grant. Wypada-
łoby jednak wydzielić pewne środki na ten cel z funduszy
przeznaczanych na badania, tak by projekty edytorskie
nie konkurowały na przykład z doktorskimi
czy habilitacyjnymi, w których niewielkie kwoty uszczę-
śliwiają beneficjentów: solidne wydanie krytyczne
wymaga zatrudnienia fachowców i zapłaceniu im
godziwych honorariów. Warto jednak podejmować takie
zadania, bo trwałość ich wyników jest znacznie większa
niż w przypadku rozpraw historycznoliterackich czy teore-
tycznych. Jest to w końcu również obowiązek wobec
dorobku polskiej kultury.

Na koniec wróćmy na ul. Sławkowską w Krakowie.
Akademia Umiejętności ma dla edytorstwa polskiego
wielkie zasługi: to z jej inicjatywy i pod jej auspicjami
zaczęto w końcu XIX wieku wydawać *Bibliotekę Pisarzy
Polskich* (BPP), najpoważniejszą przez lata serię edytorską.

Jak wiele dzieł PAU, i to oddano w latach obym minionych
pod kuratelę Polskiej Akademii Nauk, ale przecież pamięć
o „pierwszej” BPP
pozostała, również
jako zobowiązanie.
Może więc dzisiej-
szej Polskiej Aka-
demii Umiejętności
wypada myśleć
o rozwoju edytor-
stwa naukowego?
Może powinno się
w PAU szukać
sposobów pokona-
nia niemocy komi-
tetów redakcyjnych
zmagających się
przez dziesięciole-
cia z edycjami
największych pol-
skich autorów?

Warto ratować

nie tylko PSB, którego redakcja mieści się w gmachu
PAU w Krakowie; warto pamiętać także o zadaniach,
dla których nie powołano specjalnych instytucji.

W przekonaniu piszącego te słowa, Polska Akademia
Umiejętności może być środowiskiem, z którego wyjdą
propozycje systemowego rozwiązania sprawy „badań
podstawowych” nauk humanistycznych: wydawania źródeł
historycznych i tekstów literackich, prac bibliograficznych
i biograficznych oraz dokumentacji życia kulturalnego.

JANUSZ S. GRUCHAŁA



Janusz Gruchała:
– W badaniach polskiej historii i literatury
nikt nas wyręczyć nie może.

fot. archiwum autora

Wypowiedzi w dyskusji o polskich czasopismach naukowych

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

Dziękuję za list w sprawie czasopism. Osobiście
jestem związany z badaniami podstawowymi w dziedzinie
medycyny. Mam jasny pogląd, co do tego, jak powinny
wyglądać publikacje z mojej dziedziny.

Medycyna światowa publikowana jest w języku
angielskim. Przy ogromnym narastaniu nowych publikacji
zaledwie jest czas, by poczytać czasopisma z własnej
dziedziny, a na czytanie prasy polskiej naprawdę nie ma
czasu.

Tak „nacjonalistyczne” czasopismo, jak *Annales
d'Institut Pasteur* jest od wielu lat wydawane po angielsku.
Czasopismo włoskie z tradycyjnej od wieków dziedziny
Anatomii i Embriologii od kilku lat wydawane jest po an-
gielsku. Argumentem jest oczywiście dostępność
dla międzynarodowych czytelników. Nie ma żadnych
powodów, aby nie uznać tego argumentu także
w naszym kraju, zwłaszcza w dziedzinie **medycyny**.

Dlatego uważam, że polscy autorzy powinni publiko-
wać swoje prace w czasopismach międzynarodowych
o jak najwyższym *impact factor* (IF). Lokalne czasopisma,
np. uniwersyteckie, można by kontynuować dla celów
kolekcyjnych. Te publikacje nie powinny jednak być
brane pod uwagę przy ocenie dorobku naukowego.

A co do znajomości języka angielskiego wśród członków
Rad Wydziałów Lekarskich, jestem zdania, że nauczyciele
akademicy nauczający medycynę powinni znać ten
język w swobodnym zakresie. Bez tego można założyć,
że od lat nie śledzą postępu nauk medycznych. Powinni
wielce zrezygnować ze swoich funkcji i zająć się wyłącznie
zarabianiem pieniędzy w ramach *praxis aurea*.

Promowanie, a zwłaszcza finansowanie lokalnych
czasopism naukowych publikowanych w języku polskim
uważam za marnowanie publicznych zasobów, cho-
ciaż zdaję sobie sprawę, że dają one szanse na począt-
kowe publikacje młodych kadr.

Łączę wyrazy szacunku,
Kazimierz Ostrowski

PAUza Akademicka zaprasza do współpracy.

Artykuły, listy i komentarze
prosimy nadsyłać na adres redakcji:

pauza@pau.krakow.pl

Wypowiedzi w dyskusji o polskich czasopismach naukowych

Zaproszenie do dyskusji na temat polskich czasopism naukowych traktuję jako okazję do wyrażenia poglądów na wymogi, jakie moim zdaniem spełniać winny publikacje w biologii i medycynie doświadczalnej, dziedzinach najmniej odbiegających od moich kompetencji. Mój stosunek do roli i usytuowania czasopism polskich jest tych poglądów pochodną.

Istotą spostrzeżeń i odkryć w biologii i medycynie jest ich niezależność od uwarunkowań geograficznych czy językowych, zatem **szybkie** rozpowszechnianie **wiarygodnego novum** wśród **jak najszerzego** grona specjalistów musi opierać się na efektywnym omijaniu takich uwarunkowań. Tak zdefiniowanego celu nie da się osiągnąć inaczej niż publikując w czasopismach

- 1) ukazujących się w języku angielskim,
- 2) dysponujących radą redakcyjną potrafiącą zapewnić ostry reżim recenzowania,
- 3) dostępnych dla starszych i młodszych adeptów nauki w najdalszych zakątkach świata.

Czasopisma spełniające warunki 1) – 3) znajdujemy na tzw. „liście filadelfijskiej”. Takich czasopism jest już sporo i mocno konkurują one między sobą o prestiż. Na przykład na najbliższej moim zainteresowaniu dziedzinie neurobiologii (sekcja „Neuroscience”) lista ta liczy obecnie 211 pozycji, z czego aż 75 przekracza bardzo przyzwoity współczynnik oddziaływania (*impact factor; IF*) powyżej 3 (*ISI Report 2008*, dane za rok 2007).

Lista filadelfijska stale wzbogaca się o czasopisma internetowe, powstające w formule tradycyjnej bądź interaktywnej. Można zatem przebiegać w nośnikach zapewniających krytyczny ogłód nowopowstałego dzieła przez kompetentne grono recenzentów, a w przypadku sukcesu jego szybkie upowszechnienie „bez granic”. Przy tak pojętych celach publikowania, otaczanie specjalną troską czasopism biologiczno-medycznych ukazujących się w języku polskim i cyrkulujących lokalnie jest nieracjonalne, a nawet szkodliwe. Periodyki te stanowią rezerwuuar stagnujący, sprzyjając zamieraniu ambicji tworzenia. Publikowanie w nich często służy zaspokajaniu biurokratycznych wymogów przy osiąganiu formalnych awansów zawodowych i stopni naukowych, te stanowią rezerwuuar stagnujący, sprzyjając zamieraniu ambicji tworzenia. Publikowanie w nich często służy

zaspokajaniu biurokratycznych wymogów przy osiąganiu formalnych awansów zawodowych i stopni naukowych, zresztą do czasu; trzeba sprawiedliwie skonstatować, że wymagania władz nauki polskiej, a zwłaszcza powołanych przez nie ciał przydzielających granty, z roku na rok rosną. Nie brak przykładów szybkiego wzrastania notowań szeregu ukazujących się w Polsce czasopism anglojęzycznych; dwa z nich (*Journal of Physiology and Pharmacology* i *Pharmacological Reports*) kojarzą się poprzez związki osobiste i tożsamość topograficzną z Polską Akademią Umiejętności. Takim czasopismom warto sprzyjać poprzez ich propagowanie w środowisku potencjalnych autorów i czytelników.

Nie chcąc uchodzić za naukometyrycznego dogmatyka skłonię się ku dwóm grupom czasopism, których istnienie jeszcze przez czas jakiś ożywiać będą obiektywne i subiektywne utrudnienia dostępu do literatury anglojęzycznej. Pierwsza grupa to periodyki przeglądowo-poglądowe, w których ukazują się podsumowania świeżych osiągnięć i ich czasoprzestrzenne tło. W interesującej mnie dziedzinie należą tu *Postępy Biochemii*, czy *Postępy Biologii Komórki*; ukazujące się w nich prace są często najwyższej próby. Grupa druga to czasopisma adresowane do zabieganych lekarzy praktyków, w których odnotowuje się najnowsze „trendy” i osiągnięcia medycyny praktycznej; w niektórych znajdziemy tłumaczenia najnowszej literatury światowej (np. wersja polska *Neurology*). Myślę, że te dwie grupy periodyków mogą zasługiwać na wsparcie.

Mam świadomość, że przesłanie powyższego tekstu nie rozciąga się na niektóre inne dziedziny nauki, zwłaszcza na te z nauk humanistycznych, w których przekaz *novum* kształtowany jest przy pomocy subtelnych odcieni języka polskiego. Nie jestem humanistą z wykształcenia, ale lubię poezję. Zdarza się, że czytając Lechonia zastanawiam się, czy więcej w jego słowach pogodnej ironii (*Bajka warszawska*), gorzkiej autoironii (*Poeta niemodny*), czy zwiastującej samobójstwo tęsknicy (*Bzy w Pensylwanii*). Gdyby ktoś podjął trud przełożenia tych dywagacji na język profesjonalny, musiałby to być język polski...

JAN ALBRECHT

W rozpoczętej przez Pana Prezesa dyskusji o polskich czasopismach naukowych przedstawiam swoje stanowisko w tej sprawie.

- 1) W specjalności, którą reprezentuję (farmakologia), liczbę 2 polskich czasopism (*Journal of Physiology and Pharmacology* – aktualny IF = 4.46 i *Pharmacological Reports* – aktualny IF = 2.29) uważam za wystarczającą.
- 2) Jestem zdecydowanym zwolennikiem „umiędzynarodowienia” naszych czasopism (publikacje w języku angielskim) za wyjątkiem niektórych czasopism humanistycznych.
- 3) Uważam, że polskie czasopisma powinny być finansowane ze środków publicznych, o ile spełniają odpowiednie kryteria (miejsce na „liście filadelfijskiej”, odpowiednio wysoki IF,

zróżnicowany dla poszczególnych dyscyplin). Rzecz jasna, inne kryteria należałoby ustalić dla czasopism publikowanych w języku polskim. Nie wykluczam, że w przyszłości przynajmniej część z polskich czasopism można by poddać prawom rynku.

- 4) Byłbym przeciwny podnoszeniu „wagi” polskich czasopism przy kategoryzacji placówek. Do publikowania w nich powinien zachęcać ich odpowiedni poziom redakcyjno-edytorski (ekspertyzki recenzje, krótki okres oczekiwania na publikację itp.).
- 5) Prace publikowane w języku polskim w czasopismach lokalnych nie powinny być uwzględniane w dorobku naukowym dla celów kategoryzacji i rankingów.

EDMUND PRZEGALIŃSKI

Zielone białka fluoryzujące

Nagrodę Nobla z chemii w 2008 r. otrzymali Osamu Shimomura, Martin Chalfie i Roger Y. Tsien (wszyscy z USA) za badania nad zielonym białkiem fluoryzującym (GFP – Green Fluorescent Protein).

Białko to zostało odkryte podczas badań nad biochemicznymi mechanizmami luminescencji jamochłonów występujących w Oceanie Spokojnym i wyizolowane z meduzy *Aequorea victoria* przez Osamu Shimomurę w 1962 r. W r. 1994 Martin Chalfie wprowadził sekwencję kodującą GFP do dwóch innych organizmów: bakterii *Escherichia coli* oraz nicienia *Caenorhabditis elegans*, tak otrzymując funkcjonalne białko, które wkrótce znalazło szerokie zastosowanie w biologii molekularnej. W kolejnych latach Roger Y. Tsien wprowadził do dzikiej odmiany GFP modyfikacje mające na celu zwiększenie wydajności fluorescencji, skrócenie czasu dojrzewania oraz poszerzenie palety kolorystycznej.

Pierwszym wyizolowanym z *A. victoria* białkiem była akworyna, świecąca na niebiesko pod wpływem wzbudzenia ultrafioletem. Jednakże światło emitowane przez *A. victoria* nie ma zabarwienia niebieskiego, lecz zielone. Idąc za tym tropem Shimomura i współpracownicy znaleźli drugie białko, współwystępujące z akworyną: zielone białko fluoryzujące – GFP. Odkryli, że ulega ono wzbudzeniu, na zasadzie zjawiska Förstera, wskutek oddziaływania z akworyną. Maksimum emisji akworyny przypada dla $\lambda=470$ nm, zaś jedno z maksimumów absorpcji zielonego białka fluoryzującego występuje przy $\lambda=480$ nm. Dzięki temu energia emitowana przez wzbudzoną akworynę (donora) jest przekazywana do GFP (akceptora), które z kolei oddaje energię na sposób promienisty, fluoryzując na zielono, $\lambda_{\max}=509$ nm. Wydajność kwantowa tego zjawiska jest stosunkowo wysoka: 0,72. Efekt ten, określany jako FRET (Fluorescence (Förster) Resonance Energy Transfer), ma szerokie zastosowanie w badaniach biologicznych z użyciem mikroskopii fluorescencyjnej.

Zielone białko fluoryzujące jest monomerem o masie 27 kDa, składającym się z pojedynczego łańcucha polipeptydowego o długości 238 aminokwasów.

Własności fluorescencyjne są zawdzięcza związkowi organicznemu (*p*-hydroksybenzylideno-imidazolidon) powstałemu w wyniku cyklizacji trzech aminokwasów (*Ser-Tyr-Gly*) w pozycjach 65-67 łańcucha

polipeptydowego, a następnie ich reakcji z tlenem cząsteczkowym. Chromofor ten jest bardzo stabilny, ponieważ znajduje się wewnątrz beczułkowatej struktury, zbudowanej z 11 antyrównoległych arkuszy β .

W 1992 r. Martin Chalfie wprowadził gen kodujący GFP, pochodzący od *A. victoria*, do dwóch innych organizmów: bakterii *Escherichia coli* i nicienia *Caenorhabditis elegans*, otrzymując mutanty z obcopochodnym GFP. W ten sposób wykazał, że zielone białko fluoryzujące może ulec ekspresji w dowolnym organizmie, zarówno eukariotycznym, jak i prokariotycznym, bez dodatkowej

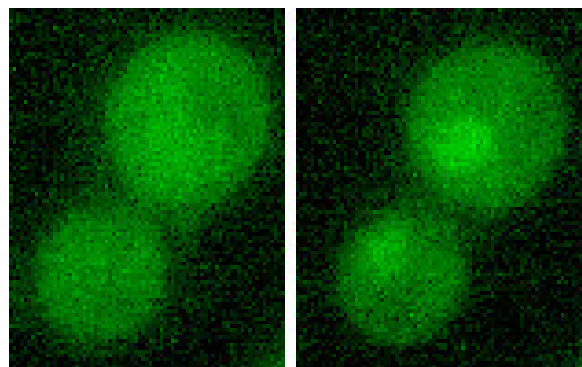
obróbki enzymatycznej ani udziału kofaktorów specyficznych dla *A. victoria*. To odkrycie zrewolucjonizowało współczesną biologię molekularną, gdyż dostarczyło narzędzia do nieinwazyjnego badania licznych procesów zachodzących w komórce.

Po wprowadzeniu do genomu sekwencji kodującej GFP, kontrolowanej przez odpowiedni promotor, zamiast sekwencji kodującej białko badane, można otrzymać zielone białko fluoryzujące w ilości odpowiadającej ilości białka badanego, proporcjonalnej zarazem do aktywności danego promotora. Z kolei, wprowadzając sekwencję kodującą GFP tuż obok genu kodującego białko badane (przed kodonem STOP), można otrzymać białko fuzyjne składające się z GFP połączonego z białkiem badanym.



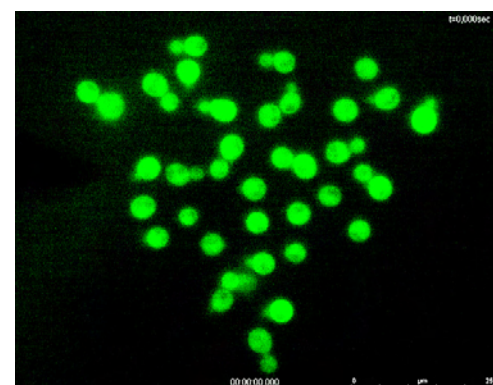
Elżbieta Petelenz:
– Odkrycie GFP zrewolucjonizowało biologię molekularną.

fot. ze zbiorów autorki



Drożdże (*Saccharomyces cerevisiae*); porównanie sytuacji: *no stress* i *stress*. Pod wpływem stresu hiperosmotycznego GFP Hog1 koncentruje się w jądrze komórkowym.

fot. Elżbieta Petelenz & Emma Eriksson
Centre for Biophysical Imaging, Dept. of Physics, University of Gothenburg, Göteborg, Sweden.



Drożdże (*Saccharomyces cerevisiae*); białko Hog1, wyznakowane GFP. W nieobecności stresu hiperosmotycznego białko jest równo rozłożone w cytoplazmie.

fot. Elżbieta Petelenz & Emma Eriksson
Centre for Biophysical Imaging, Dept. of Physics, University of Gothenburg, Göteborg, Sweden.

Obecność znacznika, jakim w tym przypadku jest GFP, nie wydaje się wpływać na zachowanie białka badanego, co umożliwia śledzenie lokalizacji takiej hybrydy przy użyciu mikroskopii fluorescencyjnej. Dodawanie kolejnych znaczników w różnych kolorach pozwala na śledzenie kilku procesów równocześnie. Roger Tsien wniósł zasadniczy wkład w ten aspekt zagadnienia poszerzając paletę barw oraz ulepszając właściwości fizyczne i biochemiczne tychże białek fluoryzujących. Przykłady tutaj przytoczone stanowią jedynie część możliwych zastosowań tych białek¹.

ELŻBIETA PETELENTZ
Dept. of Physics, University of Gothenburg, Göteborg, Sweden

¹ Z uwagi na charakter PAUzy Akademickiej nie zamieszczamy odnośników do literatury naukowej podanych przez Autorkę (Red). Więcej informacji o GFP można znaleźć np. pod adresem: http://nobelprize.org/nobel_prizes/chemistry/laureates/2008/sci.html

Już chyba nie boli (glossa)

Zawsze muszę się chwilę zastanowić, kiedy słyszę lub czytam: Ukraina zachodnia, Ukraina wschodnia. Ze Lwowa do Tarnopola, Stanisławowa, Łucka i w Czarnohorę jechało się na wschód. A w Bieszczady na zachód. Zmiana kierunków bolała wygnanych na drugi kraniec ojczyzny – jak ja do Wrocławia.

Z wielką satysfakcją przeczytałam w 13 numerze PAUzy artykuł prof. Jacka Purchli o polsko-ukraińskim dialogu i owocnej współpracy. Na dziennikarską miarę inicjowałam taki dialog na antenie Programu dla Zagranicy Polskiego Radia w latach 1990. Zostało mi po tym kilkanaście pocztówek od słuchaczy, z przewagą, niestety, głosów żalu i zdziwienia: jak ktoś urodzony we Lwowie może pragnąć pojednania z Ukraińcami? Pojawiło się nawet słowo: zdrada. Zabolało. Jakże to już odległe!

Oglądając zdjęcia, które moja wnuczka zrobiła na Ukrainie – w Karpatach – słuchałam o tym, jak serdecznie ich czteroosobową grupę przyjmowali mieszkańcy wioski, m.in. Żabiego, gdzie jej prababka prowadziła, prawie wiek temu, obóz harcerski, kiedy studiowała medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza i była komendantką lwowskiej chorągwi. O urodzie Prutu i Czeremoszu dowiedziałam się od niej, mojej mamy, zanim przeczytałam wyznanie Czesława Miłosza uczynione Stanisławowi Vinzenzowi, że kto raz słyszał szum tych rzek – nie zapomni, choćby był zgrzybiały, ślepy i głuchy. To też nie boli, odkąd na Huculszczyznę jeżdżą polscy studenci.

Czterdzieści lat temu opuściłam Wrocław, moje drugie rodzinne miasto, dokąd po wojnie przeniosły się duże "kawalki" Lwowa – w osobach mieszkańców (choć lwowskiej inteligencji było tylko kilkanaście procent ogółu wrocławskich pionierów), w instytucjach takich jak Ossolineum, w stylu ludzkich kontaktów, w naleciałościach językowych.

W Warszawie moją „rusińską” babką z Gródka Jagiellońskiego mogłam się chwalić, bo to brzmiało egzotycznie, a nie wywoływało grymasu niechęci.

Dwa razy, w latach 80., odwiedziłam Oleśkę, najserdeczniejszą nianię, gosposię, kucharkę wychowawczynię, o twarzy z ikony, tylko zawsze roześmianej. Wojenne losy zagnały ją aż na pogranicze Anglii i Szkocji, gdzie stała się katoliczką, gdyż cerkwi greckokatolickiej tam nie było, i żyła pośród Anglików ogólnie lubiana i szanowana. Wspominałyśmy, a właściwie Olesia opowiadała mi o moim dzieciństwie. O tym, gdy wkroczyli do Lwowa sowietzi, stała na balkonie wykrzykując: *Wy swołocz parszywa, po coście przyszli?* Na pewno poszłaby na Plac Niepodległości, choć nogi wcześniej zaczęły jej dokuczać.

Małeńką niebiesko-żółtą wstążeczkę, a na niej odznakę tryzuba miał w klapie ukraiński gość z Paryża, redaktor emigracyjnego pisma *Suczasnost*, z którym rozmowę nagrywałam w roku 1991. Pomyślałam sobie: Czemu ja spostrzegam takie rzeczy w półmroku studia? I kiedy przestanę?

Pojechałam służbowo do Lwowa w 1993 r., pierwszy raz po opuszczeniu rodzinnego miasta pół wieku wcześniej. Zrobiliśmy później, wspólnie z tamtejszą rozgłośnią, audycję-most nadaną na żywo z... Wrocławia. O Polakach we Lwowie i o kiepskiej (wówczas) doli polskich placówek kulturalnych. Uścisk ręki – z rezerwą po obu stronach.

Wrocławskie studia przesiedziałam nad lekturami w czytelni Ossolineum, pośród jego lwowskich pracowników.

Z Warszawy jeżdżę tam po wiadomości o losach zbiorów, wprost do źródła, czyli dyrektora Adolfa Juzwenki. Od kilku lat, wiadomości są dobre: podpisana umowa o współpracy z biblioteką im. Wasyła Stefanyka, czyli lwowską częścią Ossolineum, perspektywa scalenia zbiorów przez ich nowoczesne skopiowanie, wreszcie filia Zakładu Narodowego we Lwowie.

Od dawna wiem, że moje wnuki dożyją czasu, kiedy dziejowa chwila pojednania polsko-ukraińskiego stanie się przeszłością, uczoną na lekcjach historii w szkole. Nie może to znaczyć zapomnienia o krzywdach doznanych, o winach popełnionych, ale wybaczenie i ufność, że się nie powtórzą. Jednemu i drugiemu – w płaszczyźnie społecznej i w społecznej skali – potrzebne są symboliczne gesty, jakich politycy obu krajów skąpią. I bez nich wszakże proces zbliżenia postępuje. Jest głównie udziałem elit intelektualnych, ale to one wyprzedzają bieg dziejów i nadają mu kierunek.

Warto przyglądać się wspólnej historii w perspektywie długiego trwania, gdyż ułatwia to rozróżnianie między tym, co już stało się przeszłością i tym, co jeszcze się dzieje. Pomaga uwalniać się od fobii oraz odruchów wywoływanych przez – uciekające wstecz – wspomnienia.

MAGDALENA BAJER

Dzieła raczej mało czytane

Dostojni jubilaci mogą spodziewać się przynajmniej jeden raz w życiu, a nawet i częściej, otrzymania im dedykowanych ksiąg, stanowiących zbiór artykułów o nader różnorodnej treści. Nie jest to, niestety, jedyną wadą tych publikacji. Co gorsza, objętość zamawianych artykułów bywa dość rygorystycznie określana na 6–8, rzadziej 10–12, stron maszynopisu. Otrzymałszy taką prośbę przyszedł autor z zakłopotaniem myśli: *a skąd ja wezmę artykuł odpowiadający postulowanym rozmiarom?* Dość często nie mają te artykuły wiele wspólnego z tytułem całej księgi. W praktyce jej redakcje z rezygnacją przymykają oko na tę niezgodność, natomiast czytelnicy jedynie przypadkowo znajdują interesujące ich pozycje w dziełach, których karty tytułowe zapowiadają zupełnie inne treści. Stąd też wielu kolegów, przyjaciół czy uczniów jubilata poprzestaje na prośbie o wpisanie ich nazwisk na *tabula gratulatoria*.

Nikt rozsądny nie proponuje oczywiście wykreślenia owych ksiąg z „liturgii” uświęconej wieloletnią tradycją. Sądję jednak, że przynajmniej części z nich należałoby nadać taką formę, jaka od dawna bywa stosowana na przykład w RFN. Tam zasadniczy zrąb owych dzieł „ku czci” stanowią artykuły samego jubilata, rozproszone po różnych czasopismach. W ten sposób powstaje koherentna całość, z jednej strony bardzo przydatna autorowi, z drugiej zaś na pewno uważnie czytana przez badaczy zainteresowanych jego twórczością. We wstępie, obok wspomnianej już listy nazwisk, mogłoby znaleźć się ogólne omówienie wkładu jubilata do nauki, jak również wykaz jego najważniejszych publikacji. Wówczas ustałyby, wypowiedane po cichu, narzekania: *Ach, znowu księga ku czci*, a osoba obdarowana powiększyłaby swój dorobek o nową, niewątpliwie cenną pozycję.

Byłbym ciekaw innych wypowiedzi na ten temat.

JANUSZ TAZBIR

zaPAU

Problem skrócenia...

Ministerstwo Edukacji Narodowej przedstawiło niedawno projekt nowej podstawy programowej dla gimnazjów i liceów. To – jak zawsze – kontrowersyjna sprawa, bulwersująca środowisko szkolne. Każdy chciałby rozszerzyć swój program, oczywiście kosztem innych przedmiotów. A wszystkim chodzi o dobro młodego pokolenia.

Te spory odbywają się jednak w ciszy gabinetów i na naradach w gronie fachowców. Problem nie wydaje się specjalnie interesujący dla tzw. szerokiej publiczności. W prasie tylko nieliczne wzmianki.

Dlaczego? Czy dlatego, że Polacy są zbyt zafascynowani sporami o samoloty dla VIP-ów? Czy przejmują ich tak bardzo kryzys światowy? A może nagle zmądrzeli i faktycznie postanowili oddać tę – niewątpliwie trudną – sprawę do rozstrzygnięcia doświadczonym pedagogom?

Myślę, że nic z tych rzeczy. Tylko po prostu – mniej lub bardziej świadomie – zdajemy sobie sprawę, że to czego uczy szkoła ma niewielkie znaczenie. A naprawdę ważne w szkolnym rytuale jest zmuszanie wychowanków do uczenia się wielu trudnych (a zazwyczaj śmiertelnie nudnych) rzeczy. Zmuszanie nie dlatego, żeby ich poznanie na coś się przydało (poza – ewentualnie – rozwiązywaniem krzyżówek), ale dlatego że w ten sposób osiąga się najlepsze przygotowanie do życia. Życie bowiem, a przynajmniej życie większości z nas, upływa na ogół właśnie przy wykonywaniu trudnych i śmiertelnie nudnych czynności, które jednak są absolutnie niezbędne, aby zarobić na chleb, a także (jeśli ktoś ma szczęście) doznać rzadkich chwil satysfakcji. Więc jeżeli ktoś się do tego nie przygotowuje w szkole, to faktycznie ma potem masę problemów.

Trochę oczywiście przesadzam, ale tylko trochę. Jasne, że poziom wykształcenia szkolnego ma pewne znaczenie i że szkoła uczy również rzeczy pożytecznych. Wiem też, że istnieją genialni nauczyciele, którzy potrafią zafascynować swoim przedmiotem całą klasę. Wiem, że istnieją wyjątkowe szkoły, do których uczniowie chodzą z przyjemnością. Te wyjątki nie mogą jednak zmienić zasadniczej konkluzji: zakres wiedzy, jaką wynosi absolwent szkoły jest sprawą drugorzędną, a liczy się przede wszystkim włożony wysiłek, samodyscyplina i wytworzenie poczucia wspólnoty (w nieszczęściu?). Wszystko to prowadzi do logicznego wniosku, że szkoła jest po prostu rodzajem ciężkiego treningu, niestety niezbędnego dla przygotowania młodych ludzi do życia w społeczeństwie.

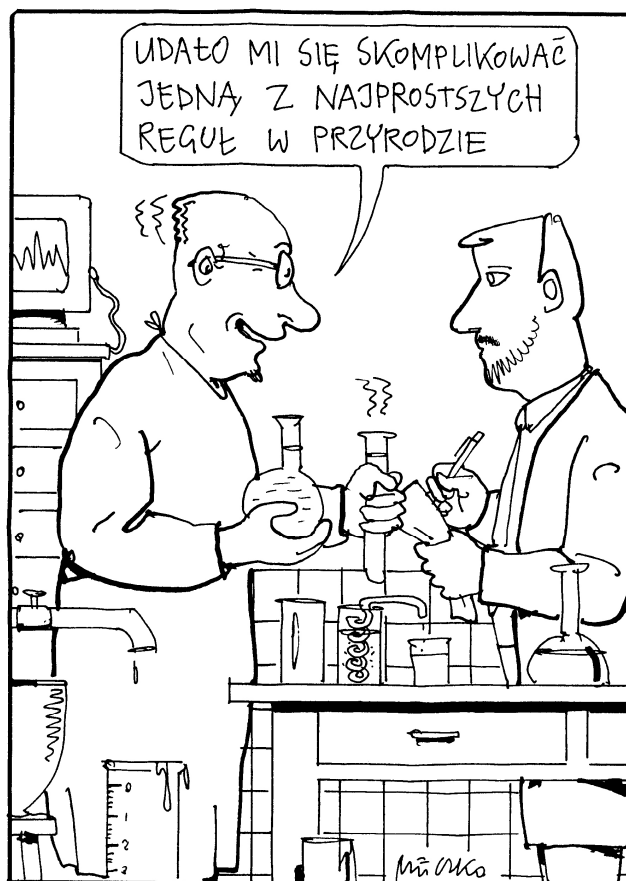
Dlatego właśnie spór o minima programowe wydaje się większości z nas drugorzędny. Czy to naprawdę istotne czy będzie jedna godzina więcej lub mniej jakiegoś przedmiotu? Czy naprawdę musimy wszystkiego nauczyć się właśnie w szkole?

Natomiast rzeczywisty problem to: jak długo winna trwać nauka? Ministerialni i związkowi specjaliści zapewne orzekną, że nie można zmniejszyć obecnie obowiązującej dawki szkolnego wychowania. Rozumiem ich, ale jestem innego zdania. Skrócenie czasu nauki (choćby o jeden rok, ale lepiej o dwa) wydaje mi się wręcz koniecznym krokiem w szkolnej reformie.

Ale to już inna historia, o której zresztą niedawno pisałem w PAUzie nr 10.

WAWRZYNIEC W.

Świat Andrzeja Mleczki



<http://mleczo.interia.pl/>

PAUza Akademicka - Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego. Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Stanisław Rodziński, Adam Strzałkowski, Andrzej Szczekliki, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Jerzy Wyrozumski, Franciszek Ziejka. Redakcja: Marian Nowy - redaktor naczelny (marian.nowy@gmail.com), Andrzej Kobos - z-ca red. naczelnego (andrew.kobos@gmail.com), Agnieszka Chudecka - fotokład, Anna Michalewicz - dyrektor administracyjny. Adres dla korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17, www.pauza.krakow.pl, pauza@pau.krakow.pl.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.